



## EUGENIA HALBREICH

Dnia 27 kwietnia 1945 r. w Krakowie, sędzia okręgowy śledczy Jan Sehn, członek Komisji Badania Zbrodni Niemiecko-Hitlerowskich w Oświęcimiu, na wniosek, w obecności i przy współudziale podprokuratora Sądu Okręgowego dr. Wincentego Jarosińskiego, członka tejże Komisji, Heleny Boguszerwskiej-Kornackiej oraz Jerzego Kornackiego, również członków tejże Komisji i posłów do Krajowej Rady Narodowej, na zasadzie art. 254 w związku z art. 107 i 115 kpk, przesłuchał w charakterze świadka byłą więźniarkę obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, numer więźnia 29 700, która zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Eugenia Halbreich z d. Sperber
Data i miejsce urodzenia	20 września 1919 r. w Krakowie
Imiona rodziców	Gustaw Sperber i Suna z Lewkowiczów, właściciele przedsiębiorstwa handlowego
Miejsce zamieszkania przed aresztowaniem	Kraków, ul. Szymanowskiego Boczna 1
Zawód	buchalterka
Wyznanie	mojżeszowe
Narodowość	żydowska
Przynależność państwowa	polska

---

Od 1941 r. do sierpnia 1942 r. przebywałam w Wielkiej Wsi koło Ojcowa. Zameldowana byłam w urzędzie gminnym oficjalnie jako Żydówka. Na początku sierpnia 1942 r. dowiedziałam się, że w Wielkiej Wsi ma być przeprowadzona jakaś akcja przeciw Żydom i dlatego przyjechałam do Krakowa, gdzie pracował w tym czasie mój mąż. Pracował jako specjalista tarczowy w firmie „Granit” przy ul. Nadwiślańskiej 1. Zarządcą tej firmy z ramienia władz niemieckich był Włoch – Huberto Zuliani. Ponieważ w tym czasie nie wolno było Żydom mieszkać poza

gettem, przeto ja i mój mąż wynajęliśmy mieszkanie w getcie przy ul. Krakusa 21. Oprócz nas dwojga w getcie przebywali wówczas z mojej rodziny rodzice i dwaj bracia. 27 października w czasie drugiej akcji skierowanej przeciwko Żydom wywieziono z getta ok. 10 tys. Żydów, a między innymi mojego brata, Henryka Sperbera. Cały transport skierowany był do Bełżca. W czasie drogi bratu udało się zbiec z pociągu i wrócić do Krakowa. Brat mój, Henryk Sperber i mąż, Jakub Halbreich, należeli na terenie getta do bojówki Armii Ludowej. Ja pomagałam im w pracy, przepisując biuletyny radiowe i wypełniając fałszywe kenkarty oraz wydając fałszywe zaświadczenia pracy. Jako zatrudniona poza gettem miałam możliwość wychodzenia za jego bramę. To ułatwiało mi moją pracę i pomagało w uniknięciu wywiezienia mnie transportami z getta. Poza bojówkami Armii Ludowej istniały jeszcze na terenie getta bojówki syjonistyczne.

4 grudnia 1942 r. mój brat został w getcie aresztowany. Chcąc go ratować udałam się do domu, w którym znajdował się tzw. *Ordnungsdienst*, a mając pewne znajomości chciałam go stamtąd uwolnić. Gdy mnie jednak do wnętrza budynku nie wpuszczono, udałam się do mieszkania rodziców przy ul. Limanowskiego, zdaje się nr 5. Przed wejściem do mieszkania rodziców spotkał mnie niejaki Braw, milicjant żydowski, który, mimo iż wiedział, że w mieszkaniu znajduje się gestapo, nie ostrzegł mnie. Po wejściu do mieszkania zostałam aresztowana, a następnie odprowadzona do budynku *Ordnungsdienstu*, gdzie przetrzymano mnie przez sześć tygodni. Z treści przesłuchań, które w tym czasie odbyłam przed gestapowcami, domyśliłam się, że moje zatrzymanie nastąpiło w związku z aresztowaniem mego brata. W tym dniu zresztą polecono aresztować na terenie getta wszystkich noszących nazwisko Sperber. Wtedy też aresztowano mojego brata Romana. Obu braci przewieziono jeszcze tego samego dnia do więzienia na Montelupich. Jak się później dowiedzieliśmy, sprawcą aresztowania Henryka był Żyd, niejaki Julek Apel, konfident gestapo. W tym dniu ani mnie, ani rodziców moich nie przesłuchiowano, a jedynie bratu grożono, by mówił prawdę, gdyż w przeciwnym razie wszyscy zginiemy. Wieczorem, o godz. 18.00 przyszedł rozkaz gestapo, by mnie i ojca aresztować. Matkę już wcześniej wypuszczono na wolność.

O drugiej w nocy matka została ponownie aresztowana i po dwóch tygodniach znowu wypuszczona na wolność. Pierwszy raz przesłuchiowano mnie po tygodniowym pobycie w więzieniu *Ordnungsdienstu*. Pytano mnie wtedy, czy nie wiem o jakiejś stacji nadawczej, czy nie wiem czegoś o kolportażu ulotek i gdzie w getcie znajduje się broń? Na wszystkie pytania odpowiedziałam negatywnie. Po przesłuchaniu kazano mi się odwrócić do ściany,

a przesłuchujący mnie gestapowiec napisał w protokole *verlogene Jüdin*, tzn. zakłamana Żydówka, po czym przykrywszy te słowa ręką polecił mi podpisać protokół. Następne moje przesłuchanie odbyło się już na ul. Pomorskiej w budynku gestapo. Pytano mnie wówczas o to samo, co w budynku *Ordnungsdienstu*, następnie o okoliczności dotyczące mego brata, a wreszcie pokazano mi pismo, które ja własnoręcznie, ale zmienionym charakterem, napisałam. Był to komunikat radiowy. Zaprzeczyłam, bym ten komunikat redagowała i pisała. Wówczas przesłuchujący mnie gestapowiec uderzył mnie ręką w twarz. Po przesłuchaniu odprowadzono mnie z powrotem do więzienia *Ordnungsdienstu*. Tego samego dnia, po raz trzeci, aresztowano moją matkę i jak przypuszczam aresztowanie to nastąpiło z związku z moim zeznaniem na ul. Pomorskiej. Po upływie trzech tygodni od tego aresztowania, wywieziono mnie transportem, razem z matką i ojcem, do obozu w Oświęcimiu. Później z opowiadania kolegów brata, którzy razem z nim przebywali na Montelupich, a przybyli do więzienia w Oświęcimiu, dowiedziałam się, że Henryk został rozstrzelany przez gestapo na cmentarzu żydowskim w Krakowie, młodszego brata Romana, wywieziono razem z transportem więźniów do jakiegoś obozu, ale dokąd tego nie wiem i nie mam o nim dotychczas żadnych wiadomości.

18 stycznia 1943 r. załadowano nas do wagonów bydłych na dworcu zachodnim w Krakowie. Na dworzec przywieziono nas autami ciężarowymi. Transport, który liczył ok. 500 osób, więźniów z Montelupich i z *Ordnungsdienstu* dołączono do innego transportu z Tarnowa. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Po południu przywieziono nas na dworzec, jak się później dowiedziałam, w Oświęcimiu. Wielkie wrażenie zrobili na nas jacyś ludzie w pasiakach, którzy biegając po wagonach zabierali nasze rzeczy. Później dowiedzieliśmy się, że byli to więźniowie zatrudnieni w tzw. komando kanada. Bezpośrednio po wyładowaniu podzielono nas na grupy, osobno mężczyźni, osobno kobiety i ustawiono w piątki. Kilku więźniom udało się w czasie jazdy koleją zbiec. Cały transport na dworcu obstawiony był SS-manami. Poprowadzili oninas następnie w kierunku Brzezinki. W czasie całej drogi pędzono nas, byśmy szybko szli. Jeszcze przed wejściem do obozu zauważyliśmy jakieś doły, a ponieważ uprzednio słyszałyśmy o masowym zabijaniu Żydów, przeto przypuszczałyśmy, że rowy te mogą być przeznaczone do zakopywania trupów więźniów. Wielkie wrażenie wywarła na mnie grupa więźniarek powracających z pracy do obozu. Były to Rosjanki, ubrane w pasiaki, brudne, zmizerniałe i zziębnięte. Po uprzednim przeliczeniu nas przed bramą obozową wprowadzono nas do wnętrza obozu na tzw. *Zugansgblock*. W bloku tym umieszczono cały nasz transport kobiet.

Kobiet tych było ok. 2000, w tym 160 Żydówek. Od chwili przybycia wieczorem, aż do rana przebywałyśmy w zamkniętym baraku. Noc to była straszna. W baraku było ciemno, zimno i było tylko kilka stołków, wobec tego musiałyśmy całą noc stać.

W nocy kilkakrotnie przychodzili do bloku SS-mani w towarzystwie więźniarek niemieckich, z czarnymi winklami, prostytutek. Zarówno SS-mani, jak i te kobiety, żądali od nas, byśmy oddawali, co mamy wartościowego, gdyż i tak wszystko to zostanie nam w obozie zabrane. Gdy któraś z nas zachowała się nieco głośniejsze, albo też nie chciała oddać żądanej rzeczy, zarówno SS-mani, jak i więźniarki przybyłe z nimi, bili nas rękami i gumowymi pałkami. Rano przyszedł do naszego baraku więźniarki, Żydówki słowackie, które po rozdzieleniu zupy mącznej tzw. mehlki, mocno cuchnącej, wywoływały nas alfabetycznie i następnie w grupach po sto osób kierowały do znajdującej się obok łaźni. W łaźni ustawiono nas na korytarzu, w którym pracowało dwóch więźniów. Oprócz tych przebywało tam trzech SS-manów, którzy pilnowali więźniów. Następnie po pięć osób wprowadzono nas do pokoiku obok. Tu kazano bardzo szybko rozebrać się, ubranie i bieliznę składać obok, a następnie strzyżono. Trzeba to było robić bardzo szybko, a jeżeli któraś z więźniarek robiła to powoli, wówczas SS-mani i obsługa składająca się z więźniarek bili tego, kto się spóźniał. Rzeczy spisane pakowano w osobne worki, na których umieszczano nazwiska więźniów oddających je. Następnie na oczach mężczyzn zupełnie nago przepędzono nas do łaźni. Przed wejściem do łaźni stała więźniarka ze szprycą i jakimś płynem dokonywała tzw. odwszenia. Po tym odwszeniu pędzono nas wśród bicia do „parówki” i tu zmuszano do zajmowania miejsc najwyżej położonych, gdzie było najgoręcej. W „parówce” tej przebywaliśmy przeszło godzinę, następnie wprost z gorąca przepędzono nas do innej sali, gdzie były tusze z lodowato zimną wodą, a posadzka była kamienna. Z tej izby przeszłyśmy znowu do następnej, gdzie rozdzielono między nas bieliznę i ubrania, oddzielając Żydówki od aryjek. Żydówkom dawano tylko koszule, spodnie i bluzy drelichowe porosyjskie i płaszcze cywilne z czerwonym krzyżem na plecach. Jako nakrycie głowy otrzymałyśmy cieniutkie chusteczki, a na nogi holenderskie drewniaki. Aryjki otrzymały suknie w pasy, żakiety w pasy tzw. jaki, koszule i majtki. To wszystko było bardzo brudne, podarte, zawszone i wilgotne. Po ubraniu nas w te mundury, a było to wśród ogólnego popychania się, bicia i krzyku, każda z nas podchodziła do stołu, gdzie na ręce tatuowano jej numer, a następnie w kolejności [zgodnie z numerami] odbierano od niej dane osobowe. Żydówki oprócz numerów tatuowanych otrzymywały jeszcze pod numerem trójkąt. Następnie podchodziłyśmy do szwaczek, które na boku płaszcza i sukni przyszywały nam numery oraz: Żydówkom żółtą gwiazdę, a Polkom

czerwony winkel z napisem „P”. Od tej pory każda zarejestrowana mogła nazywać się tylko numerem. Cała kąpiel trwała do późna wieczór.

Wieczorem przyniesiono nam po pół litra zupy na osobę, gdyż przez cały dzień nic nie jadłyśmy. Była to zupa z brukwi, do której dosypywano jakiegoś proszku. Po spożyciu tej zupy kobiety traciły menstruację. Fakt ten potwierdzili także w rozmowie ze mną i lekarze-więźniowie. W ogóle wszystkie więźniarki po pierwszych sześciu miesiącach – do roku, nie miały menstruacji. Nowoprzybyłych więźniów tzn. *Zugangów* traktowano szczególnie źle i największy procent śmiertelności zdarzał się właśnie wśród nich. Niemcy traktowali obóz w Oświęcimiu, jak obóz wyniszczenia, jak obóz śmierci. Dlatego też, jeśli ktoś potrafił w obozie wytrzymać kilka miesięcy, dopiero wtedy mógł być dopuszczony do jakiejś funkcji, dostać się do lepszych komand pracy lub do lepszego bloku.

Jeszcze będąc w łaźni, dowiedziałam się, że najgorzej traktowane są Żydówki-Polki i dlatego namawiano mnie bym się podała za Czeszkę, a następnie, że obóz jest otoczony drutami o wysokim napięciu, w obozie znajdują się krematoria i komory gazowe, w których masowo się truje ludzi oraz że nasz transport traktowano jeszcze znośniej, gdyż poprzednie transporty Żydówek traktowano w sposób bestialski. Współwięźniarki opowiadały mi, że w poprzednich transportach Żydówek słowackich przyjechało wiele młodych dziewcząt. Poza normalnymi metodami stosowanymi przy transportach przez SS-manów w stosunku do tych dziewcząt, postępowali w ten sposób, że sztucznie je „oddziewiczali”.

Z łaźni przeprowadzono mnie wraz z innymi Żydówkami do bloku żydowskiego nr 8. Po przyjsciu tam, gdzie było zupełnie ciemno, zastałam fatalne wprost warunki. W kącie przy ognisku siedziały tylko więźniarki, które pilnowały bloku tzw. „nocna wachta”. W bloku panował straszny smród i słychać było jęki znajdujących się tam kobiet. Pod ścianami znajdowały się prycze. Prycze te były dwupiętrowe, a przypominały jak gdyby skrzynie na króliki z jednej strony otwarte. Wewnątrz tych skrzyń spały więźniarki. Było tam pełno kału i było mokro. Dodaję, że w tym czasie szerzył się masowo w obozie tzw. *Durchfall*, choroba podobna do czerwonki, a zmuszająca do częstego wychodzenia do ustępu. Ponieważ strażniczki bloku nie zezwalały na wychodzenie w nocy do latryny znajdującej się obok bloku, a w bloku ustępów nie było, przeto chore załatwiałały potrzeby naturalne na pryczach. Wobec tych warunków higienicznych nie położyłam się tej nocy spać i oczekiwałam na swoją matkę, która do baraku przyszła dopiero o godz. 3.00 w nocy. Około godz. 4.00

blokowa i *Stubedienst* wezwali nas na apel. Jeszcze przed apelem rozdzielono zupe, ale ponieważ *Zugang* nie miał jeszcze misek i nie umiał się po tę zupe pchać, prawie nikt z nowoprzybyłych śniadania nie jadł. W czasie wychodzenia z bloku służba blokowa, składająca się z więźniarek, biła nas kijami, rękami, kopła i popychała. Apel odbywał się na ulicy lagrowej. Więźniarki każdego bloku stawały przed swym blokiem. Tak stałyśmy do przyjścia *Blockführerki* SS-manki, co trwało nieraz trzy – cztery godziny i to zarówno rano, jak i w czasie apelu wieczornego. Po sprawdzeniu przez SS-manke stanu liczebnego bloku, przychodzili do bloku *Zugangu* więźniarki-kapo i zabierały grupy do pracy.

W obozie kobiecym były różne rodzaje pracy, a dzieliły się one na dwie grupy – wewnątrz i na zewnątrz obozu – w zimie i w lecie. Wewnątrz obozu, tak w zimie, jak w lecie, były komanda, do których obowiązków należało: czyszczenie ulic, usuwanie trupów, wywożenie śmieci i czyszczenie latryn, dalej komanda pracujące w *Effektenkammer* w łaźni i tzw. komanda lepsze, komanda pod dachem. Na zewnątrz w zimie pracowałyśmy przy wywożeniu kamienia, łamaniu go i wykopywaniu z ziemi, dalej przy burzeniu budynków dawniej przeznaczonych dla mieszkańców Oświęcimia, tzw. *Baubruchkommando*, przy robotach melioracyjnych i przy usuwaniu śniegu, w lecie zaś przy pracach ogrodniczych i rolnych. Mnie przydzielono zaraz w pierwszym dniu do owego łamania kamienia, które nazywano u nas *Kiesgrube*. Pracowałam tam przez około dwa tygodnie. Kapo tego komanda była Niemka, człowiek bardzo zły, która bez żadnego powodu biła więźniarki, czym i gdzie popadło, kijem, stylem [trzonkiem] łopaty, ręką, względnie kopła je. Tam przetrwałam, razem z matką, wśród najcięższych warunków dopóki nie spotkałam po raz drugi SS-mana Klausena [Claussena].

Po raz pierwszy zobaczyłam go wtedy, kiedy byłam jeszcze w łaźni nago. Przyproceedziła go do łaźni (*ausweiserka*) Pfaffenhofen. Była ona malarką, a raczej mówiła, że jest malarką i zobaczywszy, że jestem dobrze zbudowana, oświadczyła mi, że będzie mnie rysować, to znaczy będzie robić mój portret i pytała, czy władam językiem niemieckim i czy mam wyraźne pismo. Gdy na te pytania odpowiedziałam twierdząco, oświadczyła ona, że porozmawia ze swoim szefem, to jest, jak się później dowiedziałam, *Unterscharführerem* Claussenem i weźmie mnie do pracy jako *Aufnahme Schreiberin*. Ta okoliczność pomogła mi w uzyskaniu stanowiska pisarki w *Politische Abteilung*.

Zaznaczam, że już w chwili wywiezienia mnie z getta krakowskiego nosiłam się z zamiarem samobójstwa, ponieważ wiedziałam, że z Oświęcimia żaden Żyd wyjść nie może. Od

popętnienia samobójstwa chroniła mnie tylko moja matka. Każdego dnia aufseherki obchodziły w około obóz po linii drutów i na tej linii znajdowały po kilkanaście trupów kobiet, które popełniły samobójstwo.

Pewnego dnia matkę moją zabrano do innej pracy – do burzenia domów. Po powrocie z pracy matka opowiadała mi, że ludzi szczuto psami i pokazała mi wygryzione przez psy uda. Codziennie wieczorem więźniarki przynosiły na apel po kilka, czy kilkanaście trupów kobiet zmarłych lub zabitych. Potworny wprost obraz przedstawiał moment marszu do obozu. Przy bramie stali wówczas SS-mani, prawie każdy z nich posiadał psa, które trzymane na smyczy, wyły i szczekały, a ponieważ w czasie pracy miałyśmy możliwość przekonać się, że one rzucają się na ludzi, każda z nas drżała ze strachu przy wyjściu.

W bloku ósmym, jak i w całym obozie kobiecym, odbywały się w tym czasie co niedzielę tzw. selekcje ludzi przeznaczonych do otrucia gazem. Wówczas więźniarki nie szły do pracy. Ja przeszłam w bloku 8. tylko jedną selekcję. Osobiście przeżyłam 18 selekcji w obozie, a było ich znacznie więcej. Selekcję ludzi przeznaczonych do gazowania przeprowadzał *Rottenführer* Taube w towarzystwie SS-manki Drexler [Drechsel] i innych. Odbywało się to w ten sposób, że polecono nam się ustawić przed blokiem, a następnie Taube zupełnie dowolnie wskazywał, kogo mu się podobało. Numery tych więźniów spisywano, a następnie transportowano ich do bloku 25., bloku transportowego do komór gazowych.

Po przydzieleniu mnie do *Politische Abteilung* miałam prawo mieszkania w innym bloku, aryjskim, a ponieważ moja matka pozostawała dalej w bloku 8., przeto prowadzono mnie dalej na czas spania do więźniów tego bloku. Faktycznie zaś mieszkalam w bloku, w którym mieściło się *Politische Abteilung*. W czasie następnej niedzieli, a zatem w dwa tygodnie po moim przybyciu do obozu, odbyła się druga selekcja. W czasie tej selekcji Taube wyznaczył moją matkę do gazu, na skutek czego przeniesiono ją również do bloku 25. Składał się on z dwóch baraków, otoczony był murem i dostęp do niego był niemożliwy. Mimo trudności, starałam się zobaczyć z matką. Chcąc ratować matkę zwróciłam się do Pfaffenhofen, by ta ubłagała u Claussena, żeby zwolnili moją matkę. Sama również prosiłam go o to. Claussen odpowiedział mi, że to bezcelowe, gdyż moja matka jest już stara, czy dziś, czy jutro, zginąć musi, a jeżeli ja chcę żyć, to muszę o matce zapomnieć. W tym czasie, jak już uprzednio nadmieniałam, pracowałam w *Politische Abteilung*. Tam przychodziły wykazy osób, które miały być otrute w komorach gazowych. Wykaz taki zawierał numery, a obok tego litery „SB”.

Wówczas jeszcze nie wiedziałam, co to znaczy i wiedziałam, że Taube był *Blockführerem* w bloku 25. Później dowiedziałam się, że „SB” to skrót *Sonderbehandlung*, tzn. osoby przeznaczone do zagazowania. Pewnego dnia, a raczej na drugi dzień pobytu mej matki w bloku 25., Taube przyszedł do biura, w którym urzędowałam. Gdy zauważył, że płaczę, oświadczył: „Was holst du blade Kuh?”, a następnie w języku niemieckim oświadczył: „Czy źle ci tu, dopiero przyszedłaś do obozu, już płaczesz? Jak chcesz to ja ci tu zaraz pokażę!”. Wówczas odpowiedziałam mu, że moją matkę przeznaczono do otrucia gazem. Taube śmiejąc się okazał lekceważenie memu żalowi, a gdy oświadczyłam, a raczej zapytałam: „Czy wie pan, co to znaczy matka?”, załamał się. Nie wiem czemu przypisać to, że ten „potwór” zezwolił mi na dalszą rozmowę, zażądał podania mu numeru mej matki, a następnie udał się do bloku 25. Po powrocie z bloku oświadczył mi, że moja matka zostanie i nie pójdzie transportem, że mogę iść do niej, ubrać ją odpowiednio i że następnie weźmie, a raczej zostawi ją tam jako *Stubedienst*. Było to wówczas wielkim szczęściem pełnić jakąkolwiek służbę w bloku 25. Postępowania Taubego zupełnie nie zrozumiałam.

Taube był to człowiek średniego wzrostu, szczupły, wyglądający na suchotnika, lat ok. 19-20, o zbójckim wyglądzie twarzy, sadysta nieznający żadnych uczuć ludzkich. Szczególną brutalnością odznaczał się w wybieraniu ludzi z poszczególnych bloków do bloku 25. i w ładowaniu ich na auta. Dobrał on sobie odpowiedni dla siebie personel. Nie pozwalał nieraz przez kilka dni podawać więźniarkom bloku 25. zupełnie wody ani żadnego jedzenia, bił bez miłosierdzia, bez żadnego powodu i gdzie popadło. Gdy ładowano więźniarki na auta, by je przewieźć do komór gazowych, polecał *Stubedienstem*, by wrzucano je jak pakunki i sam też to robił. Więźniarki starsze, pełniące na bloku funkcje, w szczególności niejaka Cylke, 15-letnia dziewczyna, Żydówka słowacka, na jego polecenie wprost rozrywała kobiety, biła je, gdzie popadło, a niejednokrotnie zabijała. Urobiona w ten sposób przez Taubego została następnie *Lagerälteste*.

Na skutek zezwoleniem Taubego udałam się do bloku nr 25. Blokowa wiedziała o tym, że mam przyjść. Po wyjściu na podwórze zastałam pełno trupów, gdyż z wszystkich bloków je tam znoszono. Musiałam skakać po trupach. Po dłuższym poszukiwaniu mej matki przyprowadzono ją do mnie. Mimo iż przed pobytem w bloku nr 25 czuła się zupełnie dobrze i zdrowo, po dwóch dniach pobytu tam, ujrzałam już zgrzybiałą staruszkę. Nie chciała po prostu wierzyć, że ze mną rozmawia i nie zdawała sobie z tego zupełnie sprawy. W momencie, gdy oprzytomniała obserwowałam zupełnie wyraźnie na jej twarzy zmianę, jakby wracała

do życia. A potem zaczęła ze mną rozmawiać. Taube dotrzymał słowa i zatrudnił matkę w charakterze strażniczki bloku 25. Był to dla mnie najgorszy okres pobytu w lagrze, ponieważ wiedziałam, że z tego bloku – „bloku śmierci”, nikt nie wychodził. Przypuszczenia moje były słuszne, bo już przy następnej selekcji wyznaczono matkę do gazu. W tym, jak również w drugim wypadku, w tydzień potem wyratował matkę od wysłania do komór gazowych Taube. Również w czwartym tygodniu zwróciłam się do Taubego z prośbą o pomoc dla matki. Wtedy dowiedziałam się od służby bloku, że matka moja przeznaczona jest do transportu. Gdy przyszłam na miejsce, prosiłam Taubego, by ją z tego transportu wyłączyć. Taube wezwał wówczas moją matkę i przy niej oświadczył, że z transportem do gazu nie pójdzie. Uspokojona tym oświadczeniem, wróciłam na blok. Tejże nocy, gdy szłam do pracy, dowiedziałam się od blokowej bloku nr 25, że matkę moją otruto gazem. Dziś robię sobie największe wyrzuty z tego powodu, że usiłowałam matkę przez te pięć tygodni chronić przed śmiercią, gdyż idąc za zdaniem Claussena, powinnam zrozumieć, że matka moja i tak zginąć musi, ale jako córka chciałam ją ratować. Na własne oczy widziałam, że po każdym transporcie ludzi wysyłanych do gazu, podwórze bloku nr 25 wyglądało strasznie. Było całe zalane krwią, którą musiało zmywać specjalne komando, tak zwane *Reinigungskommando*. Gdy przychodziłam do tego bloku, słyszałam straszliwe krzyki więźniarek wzywających pomocy i wody. Krzyki te słysząc było w całym obozie. Matka moja usiłowała pomagać chorym i za to była niejednokrotnie bita przez inne *Stubedienstki*. Po śmierci matki nie byłam tam więcej, a nawet nie zgłosiłam się po odbiór rzeczy, które tam zostawiła.

Jeszcze za życia matki utraciłam funkcję w *Politsche Abteilung* i dopiero na skutek interwencji Taubego dostałam się do *Effektenkammer*, tzw. komando Kanada.

Do pracy w *Effektenkammer* chodziłyśmy na dwie zmiany. Ilość pracujących kobiet w jednej zmianie przekraczała 200 osób. Z Brzezinki do *Effektenkammer* musiałyśmy iść około trzech kilometrów. Droga ta była dla nas straszna, nie dlatego, że nas bito lub specjalnie szykanowano, ale musiałyśmy mijać rampę, na którą zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy przychodziły wówczas masowo transporty Żydów z różnych krajów Europy. Widziałam na własne oczy, jak obchodzono się z tymi Żydami. Po wyładowaniu ich z pociągu, ładowano ich na auta wśród krzyku, bicia, kopania i nieludzkiego wprost traktowania. Matki rozdzielano z dziećmi, a mężczyzn z kobietami, że poszczególne rodziny nie mogły się więcej zobaczyć. Nas, które wiedziałyśmy, że transporty te idą wprost do komór gazowych i będą tam otrute, przerażała nieświadomość, jaką wyrażały twarze nowoprzybyłych. Niejednokrotnie

po przyjeździe do Kanady widzieliśmy wielkie sterty tobołków, waliz i wózków dziecińczych, po których orientowano się co do stanu liczebnego osób w tym dniu przywiezionych, a następnie otrutych. W maju, czy czerwcu 1944 r. opowiadał mi jeden z więźniów *Sonderkommando*, który pracował przy krematorium kilka miesięcy, że w tym czasie liczba otrutych w komorach gazowych wynosiła ponad 1,7 mln.

Zasadniczo praca w Kanadzie uważana była w obozie za pracę lepszą, lżejszą i dochodową. Dlatego też więźniarki ubiegały się, by móc dostać się do Kanady. Praca polegała na sortowaniu rzeczy przywiezionych do łagru przez aresztowanych, a przede wszystkim przez transporty żydowskie, które były bezpośrednio po przybyciu trute. Segregowanie polegało na wyłączeniu poszczególnych rodzajów bielizny i garderoby oraz innych rzeczy. Bieliznę i garderobę trzeba było składać w paczki i te wiązać po 20 sztuk. Biżuterię i inne przedmioty należało oddawać w specjalnym dziale. Magazyny te były olbrzymie, niejednokrotnie więźniarki usiłowały się „dekować”. Ta okoliczność – jak też niewykonanie odpowiedniej kontyngentowej pracy, powodowały wydalenie z Kanady. Niezależnie od tego więźniarki, które dopuściły się tego przewinienia, te które usiłowały coś dla siebie „zorganizować”, były potwornie wprost bite przez więźniarki kapo. Te kapo znęcały się nad nami wyjątkowo. Oprócz nich zatrudniony był w Kanadzie z komanda męskiego kierownik – więzień Bernard, Polak ze Śląska, który w sposób wprost katowski zachowywał się wobec więźniarek. Zupełnie bez powodu bił je tak długo, aż te umierały. Specjalnie dobijał chore Żydówki. Do Polek odnosił się znacznie lepiej. Zachowanie jego było tak okropne, że niejednokrotnie SS-mani znajdujący się przy pracy komanda, interweniowali, by nie postępował tak bestialsko. W pracy był bardziej gorliwy niż sami Niemcy, jak gdyby chodziło mu o własne dobro. Po ukończeniu pracy w baraku, a przed wyjściem do bloków, w których mieszkaliśmy, odbywała się rewizja osobista więźniarek. Rewizję tę przeprowadzał właśnie Bernard w asyście SS-manek i więźniarki kapo. Rewizja polegała na obmacywaniu rewidowanej, a niejednokrotnie kazano się jej rozbierać do naga. Jeżeli coś w czasie takiej rewizji znaleziono, więźniarkę niemiłosiernie bito i usuwano z komanda.

Nie było ustępów w bloku, a jedynie obok baraku znajdowała się latryna. Do latryny tej chodzili zarówno więźniowie mężczyźni, jak i kobiety. Była ona jedynie przegrodzona ścianką, w której były szpary. Do latryny w trakcie szczyty wolno było iść za zezwoleniem i to tylko dwa razy. Czekać na wejście do latryny mogły tylko trzy więźniarki. Wejścia pilnował więzień zwany w obozie *Schefsmeistranf* [?]. Każda z więźniarek usiłowała jak najczęściej

chodzić do latryny, ponieważ przychodzili tam również mężczyźni, którzy zatrudnieni byli w magazynach żywnościowych, a dzięki temu mogli coś łatwiej „zorganizować”. Mężczyźni ci (więźniowie) niejednokrotnie rzucali więźniarkom „zorganizowane” pożywienie. Zasadniczo lżejsza była zmiana nocna, gdyż w tym czasie można było przez dwie godziny spać na złożonej tam bieliźnie nieraz zupełnie mokrej. Przykre jednak dla mnie były sceny, jakie się w czasie nocy rozgrywały. Przychodzili wówczas do baraku SS-mani, niejednokrotnie spici i wyciągnąwszy w jakiś kąt którąkolwiek z więźniarek, która im się podobała, uprawiali z nimi nierząd. To samo miało miejsce i przed barakiem, gdzie złożone były rzeczy niedawno przybyłych. Rzeczy tych pilnowali więźniowie, ciesząc się wyjątkowym zaufaniem. Gdy któraś z więźniarek zbliżyła się do sterty, by z niej zabrać coś dla siebie, ci łapali ją i odbywali z nią stosunki cielesne. Dodam, że w czasie kontroli przed wyjściem z pracy kapo niejednokrotnie w sposób „ginekologiczny” wyszukiwała u więźniarek biżuterii. Działo się to w obecności SS-manów. Do metod, którymi znieczulano więźniarki zatrudnione w kanadzie należało zabijanie w nich uczuć ludzkich przez podsuwanie im myśli, iż w następnych dniach przyjdzie nowy transport, przeznaczonych do gazu, że z tego transportu będzie można znowu wyciągnąć pewne korzyści, a w szczególności żywność dla siebie. Więźniarki nie zdawały sobie sprawy z tego, jakim kosztem zdobędą dla siebie nieco pożywienia, że stanie się to kosztem życia innych ludzi, a cieszyły się na samą myśl, że zjedzą coś lepszego. W tym czasie czułam się bardzo źle. Przede wszystkim dręczyła mnie myśl, że matka, która była wówczas w bloku 25., każdego dnia może odejść z transportem do gazu. Poza tym moje zdrowie zaczęło szwankować, miałam ropiejącą ranę na nodze i wrzody na rękach, dlatego trudniej mi było dla siebie coś „zorganizować”. Schudłam wówczas 22 kg. W komandzie kanada pracowałam do 24 marca 1943 r., następnego dnia po apelu wieczornym polecono mi, bym udała się do głównej *Schreibstuby*. Tu oświadczone mi, że nazajutrz rano mam wyruszyć z komandem 8. do *Gärtnerei* Rajska. W komandzie tym miałam pełnić funkcję szreiberki *Betriebu*. Do pracy musiałam codziennie chodzić około pięciu kilometrów. Trwało to cztery miesiące. W tym czasie przeżyłam kilka selekcji do gazu. Odbywały się one różnie. Pewnego dnia zarządzono tzw. apel ogólny. Więźniarki wszystkich bloków musiały ustawić się na łące położonej w rejonie *Postenketty*. Wówczas rzekomo odbywała się kontrola czystości w blokach i sprawdzano stan liczebny więźniarek. Trwało to od rana do wieczora. Wieczorem, gdy na skutek ogólnego osłabienia i głodu (przez cały dzień nie otrzymałyśmy nic do jedzenia), polecono nam biegiem udać się do baraków. Przy bramie stały SS-manki, które wybierały osoby słabsze spośród więźniarek i te przeznaczały do gazu.

Innym sposobem selekcji był nakaz obrócenia płaszczy tyłem do przodu, przy czym z płaszcza tworzył się rodzaj fartucha. Ponieważ w tym czasie kopano na terenie obozu rowy kanalizacyjne, polecano więźniarkom w tych płaszcach wynosić ziemię z rowów poza obóz. Pracę musiano wykonywać biegiem i przez cały dzień. Więźniarki wynoszące ziemię musiały wówczas przechodzić obok „bloku śmierci” nr 25, przed którym stał Taube. On wybierał sobie wówczas poszczególne więźniarki i tym polecał udawać się do bloku 25. Całą akcją kierował *Arbeitsdienstführer* Emmerich. Wieczorem, przed udaniem się do bloków, Taube zakończył całą akcję selekcyjną w ten sposób, że wybierał sobie grupy więźniarek, które ustawiał w grupy po 25. Następnie kolejno każdej więźniarce polecał szybko biec naprzód, a sam, biegnąc za nią, kopał ją, jak długo tylko chciał. Która z więźniarek w czasie tego biegu upadła, tę wyznaczał do gazu. W czasie tej selekcji wzięto do gazu parę tysięcy więźniarek. W tym czasie rozeszła się również groźba sterylizacji więźniarek. Mówiono wówczas powszechnie, iż sterylizację taką przeprowadza się codziennie, że rozpoczęto ją od numerów najwyższych, od niewiast, które dopiero do lagru przybyły. Od współwięźniarek dowiedziałam się, że dziennie sterylizowano 20 niewiast i to zarówno chorych, jak i zdrowych. Ja osobiście nie widziałam, ani gdzie, ani kto i w jaki sposób dokonywał sterylizacji. Wiem od innych więźniarek, że ogółem wysterylizowano 3000 niewiast i że sterylizacje odbywały się również w obozie męskim. Podobno z samej kanady wysterylizowano ok. 3000 osób. Panika wśród nas była z tego powodu ogólna.

Do wyjątkowych szykan stosowanych względem więźniów, należały tzw. *Entlausungi*. Budzono wtedy w nocy więźniów tego bloku, który miał być odwieszony. Każdy z więźniów musiał wówczas zabrać swój siennik i koc i udać się do łaźni. Tam odbierano ubranie i bieliznę, które szły do specjalnych komór, w których za pomocą gazów miano wytruć wszy. Przez ten cały czas więźniarki i więźniowie musieli chodzić nago. Ponieważ niejednokrotnie było bardzo zimno, wiele więźniarek zaziębiło się i zapadało na ciężkie choroby. Tego rodzaju odwieszania nie dawały prawie żadnych rezultatów, gdyż po odwieszeniu niejednokrotnie dostawało się bieliznę i ubranie jeszcze bardziej zawzione. Z opowiadań więźniarek dowiedziałam się, że w 1943 r. pod jesień odbyło się w Brzezince „główne odwieszenie”. Każda z więźniarek musiała po rozebraniu się wrzucić ubranie do kadzi z jakimś płynem. Ubrania te następnie z kadzi wydobywano, a więźniarki musiały je suszyć na słońcu. Do czasu dopóki ubranie i bielizna nie wyschły, więźniarki musiały nago chodzić po obozie, w którym znajdowali się mężczyźni, którzy byli przy odwieszeniu zatrudnieni. Odwieszenie rewirów odbywało się po każdorazowym

wyjściu z rewiru do lagru, przy czym chore wychodziły z łaźni nago, okryte tylko kocami, co powodowało ponowne ich zaziębienie. W obozie w Brzezince było wiele więźniarek Niemek, które były zboczone seksualnie. Więźniarki te zajmowały niejednokrotnie czołowe stanowiska, a wykorzystując to zmuszały inne kobiety do oddawania się czynom lubieżnym z innymi niewiastami. Przykłady te oddziaływały również na inne więźniarki, tak że homoseksualizm zaczął się szerzyć wśród Polek i Żydówek.

W Rajsku pracowałam w *Schreibstube* sama, a komando *Gärtnerei* Rajsko liczyło ok. 200 kobiet. Do ich zadań należały prace ogrodnicze w polu. Całe komando składało się przeważnie z Niemek z czarnymi winklami. Było poza tym kilka Rosjanek i Polek. Z Żydówek byłam ja sama i dlatego Niemki odnosiły się do mnie wrogo. Samo komando należało do komand lżejszych. Oprócz tego komando pracowało wówczas w Rajsku komando *Pflanzenzucht* liczące początkowo osiem osób, następnie do 150.

W *Gärtnerei* Rajsko pracowałam od 24 marca 1943 r., przy czym do 12 czerwca 1944 r. zmuszona byłam codziennie dochodzić do Rajska z Brzezinki, ponieważ w Rajsku jeszcze nie było obozu. Pracowało nas wówczas w tym komando ok. 300 kobiet i 150 mężczyzn. To komando musiało obrobić teren ok. 64 ha. Uprawialiśmy jarzyny, warzywa i kwiaty, ja jednak w dalszym ciągu pracowałam w charakterze pisarki. 12 czerwca 1944 r., już po wybudowaniu baraków, przeniesiono całe komando do Rajska. Wszystkie produkty komando *Gärtnerei* przeznaczone były wyłącznie dla SS-manów, a tylko liście, zgniłe jarzyny i odpadki szły do kuchni więźniów. Uprawa jarzyn była tak wysoko rozwinięta, że można było i robiło się to wyłącznie dla Himmlera i innych dygnitarzy Rzeszy, iż np. na ogórkach wybijano inicjały miejsca pochodzenia i te przesyłano do Berlina, już w miesiącach marcu i kwietniu. W ogóle uprawa jarzyn i warzyw, a zwłaszcza kwiatów, była w Rajsku bardzo zaawansowana. Ponieważ całe Rajsko wyglądało jak jeden kwiatnik, przeto zjeżdżało się tam nawet z najdalszych okolic dużo SS-manów, którzy kupowali dla siebie produkty obozowe. Miało to dla nas dobrą stronę, bowiem ze względów propagandowych dostawałyśmy stale świeżą bieliznę i odzienie, miałyśmy się prawo kąpać i warunki higieniczne w tym komando były znacznie lepsze niż w innych. Oprócz naszego komando pracowało jeszcze w Rajsku komando *Pflanzenzucht*. Komando to liczyło początkowo osiem, a z biegiem czasu jego liczebność wzrosła do 150 kobiet.

Była to stacja doświadczalna dla koksagizu i dlatego w tym komandzie pracowały więźniarki-fachowcy, inżynierowie, rolnicy, chemicy, biolodzy, a pomocniczy personel

stanowiły więźniarki, posiadające [co] najmniej wykształcenie średnie. Koksagiz była to roślina hodowana normalnie na Uralu, której jednym ze składników jest guma znajdująca się w korzeniu. Niemcy, które potrzebowały stale wielkiej ilości gumy, starały się te rośliny przeszczepić na grunt zachodnioeuropejski i w tym celu sprowadzały do Rajsku profesorów i agronomów Rosjan, którzy byli sympatykami Niemiec, by hodowlę tej rośliny w Rajsku zaprowadzili i w związku z tym przeprowadzali odpowiednie badania. Kierownikiem tej stacji doświadczalnej był *Obersturmführer* Juliusz Cäzer [Joachim Caesar]. Poza nim w tym komando pracowali Rosjanie: agronom Popow, Nikitin, Zasmurzec, prof. Kramarsko, prof. Łowczyn i inni, których nazwisk sobie obecnie nie przypominam. Komando *Pflanzenzucht*, którego kapo była warszawianka Wanda Dudczycka, miało dwa laboratoria, chemiczne i botaniczne. Laboratoria te były na bardzo wysokim poziomie i wyposażone w instrumenty doświadczalne. Z uwagi na wysoki poziom doświadczeń, często zdarzało się, że komando w Rajsku odwiedzane było przez rozmaitych dygnitarzy niemieckiego świata naukowego. W czasie takich wizyt zarówno Caesar, jak i inni zwierzchnicy obchodzili się z więźniami w sposób nadzwyczaj elegancki. Do więźniarek mówiono per pani, a całość zachowania wskazywała, że ma się do czynienia z ludźmi wolnymi, a nie więźniarkami.

Mając warunki lepsze niż inni więźniowie obozu, cierpiełyśmy, mimo wszystko, podwójnie. Barak nasz umieszczony był blisko drogi, po której chodzili ludzie wolni, a my, widząc to, zdawałyśmy sobie sprawę, że może nigdy z obozu nie wyjdziemy. Oprócz tego w pobliżu widziałyśmy dymiące kominy krematoriów i snujące się obok nich cienie więźniów, co w porównaniu z naszym położeniem wśród kwiatów robiło bardzo przykre wrażenie. To, że było nam nieco lepiej w Rajsku, nie oznacza bynajmniej byśmy były wolne od bicia i różnych kar. Za drobne przestępstwa bito nas, karano bunkrem i straszono powrotem do Brzezinki; groźbę tę niejednokrotnie wprowadzano w czyn. Codziennie przeprowadzano rewizje osobiste, a nawet zakazano używać gum przy bieliźnie, by nie można było nic tam ukryć. Jak uprzednio nadmieniłam w Rajsku poza kobietami pracowała grupa mężczyzn, którzy do pracy dochodzili z Brzezinki. Miało to dla więźniów dobre strony, ponieważ zdarzało się niejednokrotnie, iż dostawałyśmy listy z zewnątrz i listy te za pośrednictwem pracujących w Rajsku więźniów mogłyśmy przysyłać do Brzezinki. Poza tym mężczyźni niejednokrotnie przynosili nam coś do jedzenia, a my w innych wypadkach dawałyśmy im jarzyny. Nie było to pozbawione ryzyka, gdyż, jeżeli zauważył to któryś z SS-manów czy kapo, wówczas bito więźniów niemiłosiernie. Pamiętam konkretny wypadek, gdy za podanie jednemu z więźniów

– lekarzowi, małej paczki, *Arbeitsdienstführer* Moll, późniejszy *Führer* krematoriów zabił tego więźnia i jego dwu towarzyszy niemiłosiernie. Moll przyszedłszy wtedy do biura, w którym pracowałam, polecił mi biuro opuścić, następnie wprowadził tam trzech więźniów i tam ich skatował. Gdy weszłam po pewnym momencie do biura zauważyłam, że wszystkie przedmioty były powywracane, potłuczone, a ci trzej więźniowie posiniaczeni. Po tym pobiciu jeden z więźniów zmarł.

Znam inny konkretny przypadek bestialstwa władz obozowych. Jedna z moich koleżanek Lili Tofler napisała pewnego razu list do znanego jej więźnia. List ten oddała jednemu z więźniów pracujących w Rajsku i ten miał go przenieść, niosąc wieńce do obozu w Oświęcimiu I. Razem z tym więźniem, który nazywał się Solarz, szedł drugi, którego znam tylko z imienia – Wacek. Po przyjeździe do *Politische Abteilung*, gdzie mieli oddać wieńce, Solarz zgubił list. Znalazł go jeden z SS-manów. Natychmiast wszczęto dochodzenie i żądano od Solarza i Wacka, który w ogóle nic o liście nie wiedział, by przyznali do kogo był skierowany i od kogo pochodził. Obaj oni nie udzielili w tej sprawie żadnej informacji, wobec czego umieszczono ich natychmiast w bunkrze. Koleżankę moją jako autorkę listu rozpoznano po podpisie i żądano, by zdradziła do kogo list pisała. Gdy ona oświadczyła, że imienia i nazwiska tego więźnia, do którego list pisała, nie zna, tylko zna go z widzenia, wówczas oprowadzono ją między szeregami więźniów, by wskazała adresata. Gdy i w tym wypadku udawała, że więźnia tego nie poznaje, rozebrano ją do naga i postawiono pod ścianą śmierci. Po kilku dniach ją i tych dwu, którzy list przemycili, rozstrzelano. Podobne wypadki zdarzały się prawie co tydzień.

W komandzie *Pflanzenanzucht* w Rajsku nadzorował pracę młody Niemiec *Sonderführer* Christophersen. Nazywałyśmy go pospolicie „Dziurawcem”, ponieważ miał załamanie kości czołowej. Był to człowiek bardzo zły, a przede wszystkim denuncjator. Był pierwszym, który badał, czy niewiasty nie mają za stanikami czegoś, co uprzednio w obozie „zorganizowały”. Pewnego dnia moja obozowa koleżanka, Francuzka Béte napisała na kartce datę – 14 lipca 1944 r. jako datę odbicia Paryża przez Francuzów. Kartka ta adresowana była rzekomo do innej więźniarki, a dostała się w ręce Christophersena. Nie umiał on po francusku, przeto zwrócił się do kapo komanda, by ta przetłumaczyła list na język niemiecki. Gdy zrozumiał treść listu, zbeształ Bétę i zrobił na nią meldunek. Béte w czasie przesłuchania tłumaczyła się, iż na kartce zanotowała tylko swój sen. Za ten czyn skazano ją na sześć miesięcy SK [*Strafkompanie*]. Przypuszczaliśmy wszystkie, że nie rozstrzelano jej, dlatego że pisała ona

pracę doktorską dla żony Caesara i dlatego była jej stale potrzebna. Rzeczywiście Caesarowa wzywała Bértę co pewien czas do siebie i ta już w czasie pobytu w SK uzupełniała pracę doktorską w laboratorium Caesarowej. Już po 14 lipca 1944 r. spotkał Bértę przy pracy Christophersen i wówczas oświadczył jej, że rzeczywiście miała rację wpisując datę 14 lipca 1944 r. jako datę odbicia Paryża przez Francuzów.

Przebywając w Rajsku ja i moje koleżanki mogłyśmy kontaktować się z więźniami, którzy pracowali w innych ośrodkach. Jakie cele miały moje koleżanki i jakie z tego miały korzyści, o ile chodzi o kontakt z więźniami, tego nie wiem. Ja w każdym razie pracowałam w dalszym ciągu konspiracyjnie. W tym też celu kontaktowałam się od wiosny 1944 r. z mężczyznami, do których miałam zaufanie, w szczególności pracującymi w Bunie. Razem z nimi układaliśmy plan ucieczki oraz informowaliśmy swoich znajomych poza obozem, za pośrednictwem osób cywilnych pracujących w obozie, o stosunkach w nim panujących. Podawaliśmy także nazwiska znajomych, którzy w obozie się znajdowali. Zasadniczo nie ja, a ze mną nawiązano ten kontakt. Uczynił to nie spokrewniony ze mną, choć noszący to samo nazwisko, Zygfryd Helbreich, który w obozie przebywał już pięć lat, a pracował w Bunie. Zasadniczo praca konspiracyjna na terenie obozu była bardzo utrudniona. Niezależnie od niebezpieczeństw grożących nam ze strony władz obozowych, największą przeszkodą były trudności w kontaktowaniu się. Każda bowiem wiadomość czy przesłanie listu w razie wykrycia narażały zarówno tego, kto wiadomość podawał, jak i otrzymującego, przenoszącego i odbierającego. Jednym z najłatwiejszych sposobów przenoszenia wiadomości było umieszczenie tychże w ziemi skrzynek z kwiatami, które przewożono do obozu.

Jeśli chodzi o kontakt z Buną, to poza Rajskiem miały jeszcze kontakt więźniarki zatrudnione w Brzezince. Jedną z tych więźniarek, przebywających stale w Brzezince, była Dusia Liebeskindowa, która przewoziła stale listy z Brzezinki do Buny, a stąd za pośrednictwem osób cywilnych przesyłano je pod wskazany adres. Pewnego dnia, umówiła się ona z więźniami w Bunie, że przywiezione listy złoży w oznaczonym miejscu. W momencie składania zauważył to SS-man pilnujący grupy i w wyniku tego zarządził dochodzenie. W toku przesłuchania wyparła się, jakoby wiedziała, do kogo te listy były przeznaczone, ale po imionach ustalono nazwiska adresatów. Ponieważ wszystkie listy adresowano do Helbreicha, a on wyparł się winy, a z drugiej strony miał pewne kontakty w obozie, przeto jemu nic się nie stało. Z kobiet zaś ustalono tylko nazwisko jednej, której wymierzono karę chłosty, samą zaś Liebeskind skazano na sześć miesięcy SK, a następnie wywieziono transportem karnym, ale dokąd tego

nie wiem. Poza tym spotkanie się, względnie możliwości kontaktowania z mężczyznami miały i inne cele. Ja na przykład mogłam udzielić pomocy mojej koleżance, której mąż pracował w Bunie, a ona sama nie miała możliwości skontaktowania się z nim. Ponieważ miałam pewne znajomości wśród więźniów pełniących pewne funkcje, przeto mogłam ich prosić o zmianę rodzaju pracy, względnie o pomoc w wyżywieniu dla wymienionych przeze mnie więźniów i odwrotnie – osadzeni tam pracujący, a mający pewne znajomości na innych odcinkach obozu, robili to również w stosunku do innych więźniów. Przebywając w Oświęcimiu zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że nikt z nas żywy nie wyjdzie i nikt nie będzie mógł opowiedzieć tego, co się tam dzieje, przeto celem naszym było utrwalenie tego w pamięci i przesłanie w sposób konspiracyjny poza obręb obozu.

Ta nasza solidarna postawa doprowadziła do wymiany myśli i niejednokrotnie wtedy, kiedy widziałyśmy dymiące bez przerwy kominy krematoriów, byłyśmy mocno przygnębione. W momentach zaś, gdy krematoria nie były czynne, wstępowała w nas pewna otucha. Kiedy widziałyśmy, że krematoria dymią, a my żyjemy w możliwym, jak na stosunki obozowe, dobrobycie i wśród kwiatów, które musiałyśmy pielęgnować, dostrzegaliśmy ten paradoks i zdawałyśmy sobie z tego sprawę, ile tam ginie ludzi. I właśnie w tym momencie, a był to moment gazowania transportów węgierskich, zrodziła się w nas inicjatywa zorganizowania oporu na terenie Rajskiego w razie ewentualnej próby „zlikwidowania” nas. Ja i moje koleżanki nie mogłyśmy tego robić oficjalnie, a nawet konspiracyjnie w stosunku do wszystkich więźniarek, ponieważ nie miałyśmy do nich zaufania. Do aryjek nie zwracałyśmy się z tymi propozycjami z uwagi na fakt, że nie zdradzały one zainteresowania, ponieważ nie były tak bezpośrednio narażone na utratę życia jak Żydówki. Ale i w stosunku do Żydówek nie mogłyśmy występować bezpośrednio z konkretnymi planami, ponieważ nie miałyśmy materiałów, czy broni potrzebnych do stawienia oporu w razie niebezpieczeństwa. Zasadniczo mogłyśmy otrzymać tylko trzy rewolwery z Buni, w której w ogóle więźniowie naszej konspiracji mieli tylko 80 rewolwerów. Pieniądzy również nie posiadałyśmy. Mając tak słabe możliwości umówiłyśmy się we cztery: Rachela Wróblewska, mgr Sonia Barbel, Francuzka Mart i ja. Rachela Wróblewska mieszkała przed wojną w Warszawie, mgr Sonia Barbel pochodziła z Białegostoku, Mart z Paryża. Każda z nas miała grupę złożoną z dziesięciu Żydówek i miała za zadanie, nie zdradzając zupełnie konspiracji, uświadamiać je w tym kierunku, co należy robić na wypadek, gdyby nas usiłowano zlikwidować. Pracując konspiracyjnie miałyśmy na celu przeciwstawić się jedynie zagazowaniu, ale śmierć nie

napawała nas zupełnie obawą. Każda była zdecydowana na śmierć, ale równocześnie każda zdecydowana była się bronić, choćby bezskutecznie.

W celu obrony urządziliśmy się w ten sposób, że dla każdej z uczestniczek konspiracji zorganizowaliśmy po dwie próbówki. Próbówki te napełniłyśmy kwasem solnym, o który było w naszym laboratorium stosunkowo łatwo. Trudność stanowiło tylko przeniesienie tych próbówek, ponieważ bałyśmy się kontroli, a z drugiej strony umieszczenie go pod bielizną, groziło silnym poparzeniem, a oficjalnie było to wprost wykluczone. Kwas solny postanowiliśmy zakopać w ziemi, co też faktycznie uczyniłyśmy, a w razie potrzeby użyć w tym celu, by SS-manom, którzy chcieliby nas zawieźć do komór gazowych, wylać go w oczy. Każda z nas wiedziała, gdzie próbówki są zakopane, a raczej każda z nas czterech, które uświadamiałyśmy swoje grupy i ja obecnie jestem w stanie na terenie Rajskiego miejsca to wskazać. Konspiracja nasza szła jeszcze w innym kierunku, a mianowicie przewidując, że wszystkie zostaniemy zabite, usiłowaliśmy przed śmiercią spalić obóz. Największą trudność, jaką miałyśmy do pokonania, miała wykonać Francuzka Mart, która była chemiczką w laboratorium. Miała ona sporządzić jakiś płyn, który rzucony na odległość kilku czy kilkudziesięciu metrów niszczył i palił wszystko, co znajdowało się na powierzchni. Płynu tego sporządziła już dwie butle, których niestety nie zdołałyśmy zakopać. Udało się jej to uczynić dlatego, że była ona kierowniczką laboratorium i miała możliwość czynienia tam pewnych doświadczeń. Pewne składniki musiałyśmy same dostarczać. Ja również musiałam starać się, by moi znajomi z Buni dostarczali mi wskazane przez nią chemikalia. Plan spalenia chcieliśmy wykonać w ten sposób, że butle z płynem sporządzonym przez Mart miałyśmy rzucać w stronę, w której stały auta z SS-manami, a same miałyśmy przygotowanymi w tym celu nożycami poprzecinać druty okalające obóz i uciekać, gdzie która może. Zasadniczo żadna z nas nie liczyła się z niebezpieczeństwem, jakie nam groziło i każda była przygotowana na śmierć. Wielką trudność sprawiało nam zdobycie nożyc. Dostałyśmy je od więźniów pracujących w ślusarniach. Planu tego nie wykonałyśmy jedynie dlatego, że w odpowiednim czasie nie mogłyśmy zdobyć potrzebnych w tym celu chemikaliów, a w międzyczasie zaprzestano masowo gazować.

W tych warunkach przeżyłam do 17 stycznia 1945 r. Byłam w tym czasie chora, ponieważ uprzednio złamałam prawą rękę. Jedynie dzięki pomocy lekarzy więźniów Polaków, dr. Orzeszko z Kielc i dr. Sobieszczańskiego z Warszawy, odzyskałam władzę w ręce. 18 stycznia rozpoczęto ewakuację obozu. Nam polecono spakować rzeczy należące do

SS-manów, a z osobistych rzeczy pozwolono spakować to, co było potrzebne do drogi. Już od rana tego dnia widziałyśmy maszerujące w kierunku Bielska transporty więźniów. Postanowiłam nie jechać i w tym celu ukrywałam się na stryszku piwnicy, znajdującej się obok domu SS-mana, który kierował naszą grupą. Brak mój zauważono i zarządzono poszukiwanie, ale mnie nie znaleziono. Przebywałam tam przez cztery dni, a następnie zauważywszy, że w Rajsku nie ma SS-manów postanowiłam opuścić kryjówkę i zbiegłam z obozu udając się w kierunku wsi Rajsko. Tu jeden z włościan – Bajon, odżywił mnie i przetrzymał przez siedem dni, w którym to czasie wojska radzieckie zajęły Rajsko i zezwoliły mi na powrót do Krakowa.

Wracając do swych zeznań dotyczących rozdziawiania młodych dziewcząt wyjaśniam, że z opowiadania innych więźniarek dowiedziałam się, że odbywało się to za pomocą wziernika lekarskiego. Bliższych informacji na ten temat nie mogę podać.

Jeśli chodzi o różnice między Żydami podejrzanymi o konkretne przestępstwo polityczne, a masowo aresztowanymi, to polegały one na tym, że transporty masowe wysyłano wprost do komór gazowych i truto, a jedynie nieznaczny procent przeznaczono do robót w obozie, podczas gdy Żydów podejrzanym politycznie wszystkich bez względu na wiek, płeć i ewentualne kalectwo kierowano do obozu do pracy. Wszyscy ci Żydzi byli tzw. *Karteimessig* [?], tzn. byli rejestrowani w Wydziale Politycznym, który prowadził ewidencję akt przesłanych w ich sprawie przez odpowiednie placówki gestapo. Do czerwca czy lipca 1943 r. zasadniczo nie było żadnych różnic między Żydami. Także podejrzanym politycznie i tych, których masowo przywożono, brano do komór gazowych i truto. Dopiero w 1943 r. latem, gdy okazało się, że jeden z Żydów, który miał złożyć zeznanie ważne dla władz niemieckich, został zagazowany, a był on uprzednio podejrzanym politycznie, przyszło zarządzenie z Berlina, by Żydów podejrzanym politycznie traktować odmiennie i nie wysyłać do gazu. Ten moment zadecydował nawet o tym, że raz zezwolono podejrzanym politycznie więźniom-Żydom napisać list do rodzin.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich do Rajska udałam się do Krakowa, gdzie dotychczas przebywałam i pracuję w Związku Byłych Więźniów Ideowo-Politycznych, a mieszkam na stałe w Krakowie przy ul. Szymanowskiego Bocznej 1.

Na tym czynność i protokół w dniu 2 czerwca 1945 r. zakończono i po odczytaniu podpisano.